

J o a n n a J u r e w i c z

Profesor Jerzy Pelc. Wspomnienie osobiste

Wspominając Profesora Jerzego Pelca chciałabym zacząć od wątku najbardziej osobistego. Był dla mnie Profesor żyjącym pomostem łączącym mnie z dzieciństwem. I z moim dziadkiem – Witoldem Doroszewskim. Widziałam w nim tę samą mądrość i wiedzę, tę samą godność, to samo poczucie humoru. Miał szczęście znacznie lepiej niż ja znać Dziadka, który zmarł, gdy miałam 12 lat. Profesor Pelc w czasie wojny był jego studentem na tajnych kompletach w Warszawie, wraz z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim i innymi wybitnymi uczniami. Mam nieodparte wrażenie, że ludzi urodzonych w pierwszej ćwiartce poprzedniego stulecia – zarówno mężczyzn, jak i kobiety – napinała jakaś wspólna struna ze szlachetnej stali, pozwalająca przetrwać im XX-wieczne zawieruchy nieomal bez szkody dla ich intelektu i moralności. Tę strunę dźwięczącą w Profesorze słyszeć było tym wyraźniej, im bardziej ubywało najpierw Jego nauczycieli, a potem rówieśników.

Na przełomie stuleci przez kilka lat uczęszczałam na piątkowe seminarium Profesora, tak zwaną „Pelcowiznę”. Namówił mnie do tego mój ojciec, Jan Doroszewski, który radził się Profesora w wielu sprawach dotyczących językowego aspektu zagadnień związanych z medycyną. Jak to ujmował, warto na Pelcowiznę chodzić, bo mówi się tam o takich ciekawych i takich niepraktycznych rzeczach... Ja byłam wygłodzona życia intelektualnego po kilku latach oddanego macierzyństwa i taki powrót do nauki był najlepszym z możliwych.

Profesor prowadził seminaria świetnie – podziwiałam go i próbowałam się od niego uczyć. Nawet najbardziej zawikłane czy nieudane wystąpienie (bo przecież i takie się zdarzały, gdyż *non semper arcus tendit Apollo*) umiał skomentować tak, by wydobyć z niego jakąś sensowną myśl, fascynujące pytanie, niespodziewaną konkluzję. W swym podsumowaniu osadzał wystąpienie w szerszym intelektualnym kontekście, porządkował jego tezy, wyjaśniając

bardziej złożone czy niejasne terminy. Ten ład myśli i prostota jej wyrazu były uderzającą cechą Profesora.

Choć pamiętam, że po jednym z moich wystąpień chyba skapitulował. Opowiadałam wtedy o metaforach myślenia w *Rygwedzie* (XIII w. p.n.e.), które jej twórcy pojmowali w kategoriach procesu oczyszczania pod wpływem ciepła, a zatem ostrzenia metalu czy też klarowania masła, lecz także, na przykład, czesania konia, namaszczania balsamem człowieka lub... wylizywania nowonarodzonego cielaka przez krowę-matkę. W pewnym momencie swojego podsumowania – jak zwykle rewelacyjnego i trafiającego w punkt – Profesor zatrzymał się, popatrzył na mnie z pewnym niesmakiem i powiedział: „ale z tym lizaniem to już pani przesadziła”.

Ale jednak to właśnie Profesor był jednym z tych nielicznych zachodnich filozofów, którego również ciekawiło, jak inne kultury tworzą znaczenie, jak budują pojęcia filozoficzne. Jego projekt semiotyczny był totalnie inkluzywny – obejmował nie tylko różne dziedziny ludzkiej myśli zajmujące się językiem, ale także po prostu ludzi, myślących i mówiących o świecie. Profesor był w każdym calu humanistą: w centrum jego zainteresowań leżał człowiek jako istota tworząca znaki, które można badać na różne sposoby. Przekonałam się o tym wielokrotnie, kiedy pełniłam funkcję zastępcy Polskiego Towarzystwa Semiotycznego u boku Profesora.

Gdy pisałam habilitację o filozoficznych aspektach wspomnianej przed chwilą *Rygwedy*, rozpaczliwie szukałam narzędzi pozwalających mi opisać tę niezwykle syntetyczną twórczość. I choć w końcu znalazłam je w lingwistyce kognitywnej, to pierwszą książką, która pomogła mi zdiagnozować moje problemy i dała nadzieję, że można je jakoś rozwiązać, była książka Profesora *O użyciu wyrażień*. Jego rozumienie użycia metaforycznego, poczynając od stwierdzenia, że charakteryzuje ono nie tylko literaturę piękną, lecz także mowę potoczną i język nauki, a kończąc na tym, że ma ono charakter abstrakcyjny, było bliskie temu, co odczytywałam w *Rygwedzie*, sama zaś analiza, wprowadzająca m.in. pojęcia równokształtności i równoznaczności oraz ich przeciwieństw, pomogła mi sformułować istotne aspekty metaforycznego użycia wyrazów w badanym przeze mnie tekście. Pamiętam, jak dzień przed kolokwium Profesor przez telefon udzielał mi odpowiedzi na moje sponikowane pytania – tym swoim spokojnym, jasnym głosem, w precyzyjnym mini-wykładzie. Z pewnością dzięki niemu moje odpowiedzi następnego dnia były znacznie lepsze.

I wreszcie – semiotyka uprawiana przez Profesora stała się dla mnie ramą pozwalającą mi ująć moje emocje. Nie sądzę, by było to możliwe bez Jego głęboko humanistycznej postawy. W styczniu 2005 roku napisałam wiersz, dedykowany właśnie Jemu. Dedykowany w tym sensie, że pisząc go, myślałam o Nim – jak o Mistrzu, któremu można też wyżalić się z codziennych

trosk, pozornie wychodzących poza ściany Sali Ajdukiewicza na Krakowskim Przedmieściu, a jednak – dzięki Jego mądrości i empatii – jakoś w nich się mieszczących. Nigdy jednak nie miałam śmiałości Mu go pokazać. Dziś bardzo tego żałuję.

semiotyka
to nauka zawodna
panie profesorze
choć szuka się w niej
praw rozumu
wnioskowałam
ze słów w alkwie
z gestów mimowolnych
z rzeczy zostawianych w umówionym miejscu
ale
jak się okazało
nie było związku
między
znakiem
a desygnatem
choć mówiła mi o nim
bogata
literatura
źródłowa